



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

WIDZENIE.

(Fantazyja).

Jak niegdyś Aligier jego, tak dziś on prowadził mnie przez życie. Pomnę, gdy ongi przed laty igrałem na łące zielonej i, wpatrując się w błękit nieba, o raju śniłem, stanęła przedemną postać Zygmunta, — poważna, spokojna. Wpatrywał się we mnie wzrokiem pełnym mądrości, pełnym boleści i spokoju; potem zbliżył się, ujął mnie za rękę i poprowadził w milczeniu za sobą. Szedłem z nim, nie wiedząc dokąd idę, a jednak szedłem spokojny, bo ufny w moc jego; szedłem, jakby mnie archanioł w niebieską wiódł krainę. Minęliśmy łąkę kwiecistą, rzuciliśmy wioskę moją rodzinną, a gdy już znikły nam z oczu słupy dymu, wydobywającego się z kominów chat jej, ujrzałem zdala przed sobą step ogromny i nieskończony, jak wieczność. Przejęła mnie po raz pierwszy trwoga: na stepie było ludno i gwarno, ale każdy człowiek był sobą zajęty, każdy śpieszył do swojej roboty, potraçał nas w biegu, a niektórzy z podziwieniem lub politowaniem patrzyli na nas idących powoli i każdej przypatrujących się rzeczy, jakbyśmy mieli wiele czasu do stracenia. Pomimo tego ruchu i gwaru jakaś mgła smutku ciążyła na tym rozległym obszarze; a i na czołach tych ludzi nie widziałem wesołości i spokoju. Powietrze było duszne i parne.

— Mistrzu — rzekłem nieśmiało — dokąd prowadzisz mnie?

— Z łąki kwiecistej, z krainy marzeń wywiódłem ciebie, abym w rzeczywistość wprowadził. Tu twoje miejsce, tu żyj, myśl i pracuj.

Po tych słowach mglista postać poety rozwia-

ła się w powietrzu, jak mgła poranku letniego. Zostałem sam, sam jeden wśród obcych mi ludzi. Z początku trwożnie, potem coraz śmielej zacząłem iść przed siebie, przypatrując się zajęciom tłumów; a gdy widział, jak wielu z pracujących upadało pod brzemieniem ciężarów, wyteżałem swe siły, aby nieść pomoc i choć część brzemienia na własne włożyć barki. Tak powoli wcieliłem się w życie tych ludzi i ukochałem ich, jak braci swoich, jakkolwiek pomiędzy mną a nimi olbrzymia przepaść leżała. Wszyscy oni przyszli z tejsamej zkaąd i ja krainy; lecz wkrótce silny prąd życia ich porwał i zapomnieli o niej. Jedni, w orgiach trawiąc dnie całe, głośnie śmiechy wtórowali jękom bliźnich obok nich konających; drudzy, zagrzebawszy się w pracy, wyteżali wszystkie swe siły, aby jaknajwięcej złota wykopać i nie mieli czasu myśleć o przyszłości swojej; inni, usławszy sobie wygodne łóżce, leżeli na niem i głosem tryumfatorów dawali rozkazy stojącej obok czerni; na bezmyślnych twarzach tych ludzi widziałem zadowolenie z siebie i z życia i przerażającą głupotę. Niektórzy, chcąc przysłuszyć w sobie wspomnienie lat dawnych, namyślnie z wyteżeniem sił ostatka pracowali i myśl przykuli do rydla swojego; a gdy nierozważnie przypominał im tę przeszłość, którą ongi żyli, słuchali z początku uważnie, lecz wkrótce odwracali się odemnie z płaczem, przeklinając mnie, że przypominał im dawne dzieje: oni długie lata ciężkich trudów poświęcili na to jedynie, aby zapomnieć o nich, a jam w jednej chwili całą ich pracę niweczył! A byli pomiędzy pracującymi i tacy, co w pocie czoła i ze łzami w oczach od świtu do nocy wlekli taczkę swoją w milczeniu i czasem tylko, wspomniawszy na owę łąkę usłaną kwiatami, westchnęli zlekka i cicho szepnęli: „Bądź wola Twoja.“ Twarz tych ludzi niezmiernym promieniała blaskiem, głowę otaczała korona uwita z gwiazd i promieni słonecznych; lecz ani blasku tego, ani tej korony

nikt z otaczających nie widział. Przed tymi ludźmi pochylałem czoło i zginałem kolano.

I szedłem wciąż dalej i dalej przez step — bez ustanku, przypatrując się mrówczej pracy tych ludzi, a gdy ich nieraz pytałem: dlaczego pracują? żaden mi nie mógł dać zadowalającej odpowiedzi. Ten ruch ciągle leżał w ich naturze: oni bezwiednie musieli się ruszać, jak wskazówki zegaru pod naciskiem sprężyny. „Lecz kto nakręcił sprężynę?“ — pytałem nieraz sam siebie, i nie znalazłem odpowiedzi. Wskazówki zegaru służyły do wskazywania godzin; ale jaki cel pracy tych ludzi? — i tego nikt mi nie wyjaśnił. Widziałem tylko, że wszyscy różnemi idą drogami, widziałem różnorodność ich pracy, widziałem, jak nieraz jeden burzył to, co inny postawił, często trud swój własną krwią okupując; widziałem wszędzie chaos tylko i w tym chaosie zadanej myśli przewodniej, żadnego wątku znaleźć nie mogłem. I w połowie drogi stanąłem zrozpaczony, nie wiedząc dokąd iść i co czynić z sobą. Wówczas stanęła znowu przedemną anielska postać Zygmunta. Poważne i spokojne miał lica, choć na nich boleści piętno widziałem. Wziął mnie za rękę i w milczeniu poprowadził za sobą. Długo szliśmy przez step, aż w końcu ujrzałem olbrzymią, piętrzącą się górę; mistrz dał znak ręką, i poczęliśmy się wspinać na nią; po długich trudach i wysiłkach, obłany potem, stanąłem na jej szczycie.

— Patrz — rzekł mistrz, wskazując ręką płaszczyznę rozległą, poczynającą się u podnóża góry a kończącą się gdzieś daleko w przestrzeni, w pomroce, że granic jej nie mógł określić — przez step ten przechodziłeś: patrz nań teraz!

Obraz był zupełnie odmienny od tego, który widziałem, będąc na dole: miliony ludzi roili się po stepie; wszyscy pracowali zgodnie, dźwigając przed sobą ciężary, które w jednym miejscu składali, ruch był nieustanny, ale prawidłowy, jakby się wszyscy ci ludzie umówili iść razem

i każdemu osobną ścieżkę wytknięto. W mglistej dali ujrzałem wznoszący się gmach, na którego budowę wszyscy ci ludzie wyczerpali cały zapas sił swoich; każdy dźwigał kamień lub cegłę, a zamiast cementu krwią własną przylepiał ją do muru; i mury powoli, lecz stale się wznosiły. Jednakże nie mogłem dojrzeć dłoni, coby tą całą kierowała robotą, a dłoń ta musiała być, bo pomimo wspólnej pracy milionów nie dostrzegłem żadnego zboczenia, żadnej nieprawidłowości w budowaniu.

— Mistrzu — zapytałem — gdzie ten, co plan tego gmachu podał i co tą robotą kieruje? Może tym kierownikiem jest prawo natury?

Mistrz zwrócił do mnie swą twarz melancholijną.

— Dziś — odrzekł — nie czas jeszcze poznać architekta; poznawać go będziesz powoli w miarę podnoszenia się gmachu; gdy on stanie, wówczas dopiero nazwiesz kierownika po imieniu. I staliśmy tak długo, przypatrując się powolnej pracy ludzi; nakoniec mistrz przerwał milczenie:

— Zapuść wzrok swój dalej jeszcze w przestwór i zważaj pilnie, co się tam dzieć będzie.

Posłuszny rozkazowi, począłem bacznie wpatrywać się w przestrzeń odległą, lecz z początku nie mogłem dokładnie rozpoznać obrazu. Jakby mgłą cały widnokrąg był owiany, a w mgle tej dostrzegłem tylko jakieś wznoszące się gmachy, które co chwila pękały, a z gruzów ich natychmiast powstawały nowe i piętrzące się dumnie w górę, nawet samemu niebu groziły. Wokoło nich roił się tłum ludzi, w różne biegających strony: ale dokąd szli i czego żądali? — nie mogłem zrazu określić. Wkrótce mgły się rozstały i wówczas ujrzałem kilku ludzi owiniętych w togi rzymskie, idących z wolna przeciw tłumowi. Gdy się zbliżyli, tłum ich powitał rykiem tygrysim, obstał wokół i czekał, aż mówić poczyna. Każdy z tych mężów przemawiał osobno, a mowy ich przerywane były tysiącem oklasków; tłum burzył się i wrzał cały, podobny był do fali morskiej, rozkołysanej wicheru powiewem. gotowej lada chwila rozszaleć i niszczyć wszystko dokoła. Gdy przemowy skończono, tłum porwał mężów do swojego koła i kazał im prowadzić siebie do walki. Wówczas okropny obraz zarysował się przed oczami naszymi: widziałem, jak olbrzymie pękały gmachy, a łoskot upadku odbijał się gdzieś w chmurach i rykiem piorunu leciał napowrót, aby się mieszać z jękiem i kłótnią konających i głosem tryumfatorów-zwycięzców. Czerwona luna pożaru oświetlała przestrzeń całą, odbijając się w ogromnym krwi morzu, a w świetle tem widziałem zażartą, o śmierć lub życie, walkę.

— Mistrzu — zawołałem w trwodze — czyż nie ma ratunku dla tych ludzi? Czyż się nie zjawi człowiek, coby dźwiękiem lutni swojej uspokoił umysł rozszalałe, coby zwrócił ludzi do innych celów? Czyż wreszcie nie stanie mąż, coby rozrukana czerń siłą oręza powściągnął od zbrodni?

Mistrz odrzekł mi na to:

— Takie epoki wydają wprawdzie wielkich pieśniarzy, ale gdy się oni pojawiają, lud ukamieniuje ich i pieśni spali na stosie; dopiero późniejsze wieki oddadzą hołd prawdzie i z popiołów wygrzebią resztki ksiąg niedopalonych. Geniusz oręza także nic tu nie pomoże, bo praca jego nie jest trwała; on zdoła powstrzymać tłumy, ale na chwilę tylko; gdy go nie stanie, nanowo rozpoczyna się mordy i z większym jeszcze szaleństwem. Geniusz oręza nie pracuje dla wieków: dzieła jego konają z nim razem; przechodzi on szybko, jak huragan, gwałtownie burzy, gwałtownie tworzy, a gdy przejdzie, tylko pamięć o nim zachowują potomni. Tak przeszedł Macedończyk, tak przeszedł Hannibal, tak przeszedł Chrobry, tak wreszcie Napoleon przeszedł. Do prac takich potrzeba pracy wieków, mroźszej pracy jednostek: one tylko tworzą dzieła, których owoce przyszłość kosztuje. Ażeby zburzyć to, co wieki wzniosły, lub naprawić to, co one zburzyły, równie też wieków potrzeba.

W tej chwili do uszu naszych doleciał dziki ryk zwycięzców; wszystko było zburzone, wszyst-

ko skonało; na placu pozostał tylko tłum tryumfujący. Gdy ostatni jęk konającej ofiary skonał i zagaśł ostatni płomyk spalonego gmachu, tłum rozsmiał się szatańsko, ale się rozsmiał na chwilę tylko; naraz stanął nieruchomy, jakby skamieniał na miejscu, i obłąkanym wzrokiem wpatrywał się pilnie w leżące wokoło ofiary swoje. Poczem ryknął głosem, już nie tryumfatora, ale okropnym rozpacz głosem, — ryknął i tysiące mieczów ugrzęzły w piersi jego: tłum począł sam siebie mordować, a gdy ostatni człowiek z niego własne przeszywał łono, zagaśło słońce i ciemność okropna otoczyła nas dokoła. Z chmur drżący piorun zleciał, a przy krwawym świetle błyskawicy widziałem na całej płaszczyźnie krew i popioły tylko.

W zgrozie i przerażeniu począłem kląć niszczycieli i wołać o pomstę do Boga.

Mistrz chwycił mnie za rękę i groźnie zawołał:

— Stój! nie przeklinaj tych ludzi; nie sądź ich i pamiętaj, że chcąc ludzi osądzić, potrzeba od nich być wyższym umysłem i sercem; potrzeba w swej piersi skupić wszystkie ich bóle i całą ich miłość; chcąc Ludzkosć osądzić, potrzeba duchem swoim we wszystkie wieki się wcielić; przeboleć całym jej bólem, przemocować się ze wszystkimi jej namiętnościami, z jej pragnieniem i dążeniem i z jej pracą całą; potrzeba jej łzami zapłakać i serce swoje we krwi jej skapać; potrzeba skonać, aby odrodzić się czystym i świętym, jak ów duch wielki, co ją prowadzi przez wieki.

Ledwie mistrz skończył, zdało mi się, że jakaś chłodna niewidzialna ręka dotknęła mych piersi i w nich natychmiast uczułem ból tak wielki, jakby się tam wszystkie boleści świata skupiły; okropny ogień wewnętrzny palił mnie; chciałem wołać o pomoc, ale głos zamarł na ustach i w tej chwili poznałem, że konać pocynam. Mistrz patrzył na mnie ze spokojem, aż zwarły mi się powieki i martwy padłem u stóp jego.

Nad grobem moim, jak jedna chwila, tysiące przemknęło stuleci. Nadszedł w końcu czas zmartwychwstania. Mistrz na czole mojem położył rękę i drżącym głosem obudził mnie ze snu długiego. Powstawszy, spojrzałem na świat wokoło: wydał mi się jak raj, tak jasnym i pięknym; krwi i popiołów już ani śladu nie było. Na tej płaszczyźnie olbrzymiej, gdzie ongi toczyły się krwawe o śmierć i życie walki, teraz bujne rosły kwiaty, woń swą roznosząc w powietrzu, a były tak świeże i barw tak cudnych, iż niktby się nie domyślał, że wykwitły na niwie krwią i łzami użyźnionej. Po kwiatkach tych stąpali ludzie z wesołą twarzą i uśmiechem szczęścia na licach, jedni pomagając drugim w pracy spokojnej i niewyciskającej krwawego potu na czole. Zdała, promienni słońca obłany, błyszczał gmach olbrzymi, jakby z brylantów samych złożony, a był tak wielkim, że piętra jego ginęły gdzieś daleko poza obłokami — szczytu dojrzeć nie mogłem. Ludzie wszyscy skupiali się około niego i wciąż dalej i dalej prowadzili budowę.

— Czyż jeszcze dla ludzi nie nadszedł czas spoczynku, czyż ciągle muszą pracować, czyż nigdy nie skończą tej budowy? — zapytałem mistrza.

— Bez pracy i ruchu niema życia — odpowiedział — bezczynność — to śmierć i nicość; — ruch to życie i byt. Praca natury i praca Ludzkosći nie mają końca, bo w pracy tylko objawia się ich życie. Patrz na tę olbrzymią świątynię, co bliższy milionem promieni i światło rozlewa wokoło; patrz na nią: to arcydzieło Ludzkosći. Sto razy jej budowa była poczynaną, sto razy w gruzy padała, i znowu sto razy dźwigała się z nich, a za każdym razem piękniejsza i okazalsza. Patrz na nią: budowa jej nieskończona, jak nieskończona myśl, co w całej Ludzkosći nurtuje, jak nieskończona potęga, co światy do ruchu popchnęła.

— Jakiż jest cel tej ciągłej pracy, która się nigdy nie skończy? — zapytałem.

— Celem pracy natury, a więc i Ludzkosći, jest doskonałość bezwzględna. Niepochwytny ideał

tej doskonałości jaśnieje gdzieś daleko w lazurach, a Ludzkosć przez pracę swą ciągle się zbliża do niego, ale go nigdy nie osiągnie. Im więcej razy powtórzysz peryod ułamku, tem będziesz bliżej zakreślonej wielkości, ale jej nigdy nie otrzymasz. Śmieć się z tych, co prawią o bezcelowości natury: tak nie jest. Ludzkosć z nieskończoności w nieskończoność dąży, choć czasem bez świadomości celu, choć, idąc po drodze nieznaną nieraz błędzić musi. Patrz na tę brylantową świątynię: w niej przebywa idea świata; módl się do niej!

I ukłękliśmy z mistrzem pospołu, a usta drżące powtarzały słowa gorącej modlitwy.

J. Nitowski.

ZE SPUSZCZNY OLBRZYMA.

(„Cała Lira” Wiktora Hugo).

napisał

MIRIAM.

(Dalszy ciąg).

Poeta chce zapomnieć o wszystkim: o świecie, o ludziach: chce zatonać, roztopić się w tych falach barw, tonów, błysków, woni, jakimi otacza, obejmuje, pochłania go potężny prąd życia przyrody. Przedewszystkiem, — precz z gwarem miejskim, precz z wrzawą tłumów, precz z nużąca pospolitością konwenansów czczego życia powszedniego, precz z obłudą i hippokryzją nikczemną, precz z tem wszystkim, co nudzi, śmieszy, gnębi, więzi, boli! Powietrza, ciszy, prostoty, odpoczynku, wytchnienia, łun zachodowych, wonnych sianożęci, strug cicho szumiących, łąk aksamitnych, borów tajemniczych, — wsi, jednym słowem: oto co nęci go, czego pragnie, do czego tęskni, o co się upomina. *O, rus (o, wsi!)* — woła z upojeniem, streszczając w tym wykrzykniku całą świeżość horyzontów, przestraszającą nieledwie oko przywykłe do ciasnych uliczek, — cały spokój ogromny, bezbrzeżny, który, ujmując tkliwie w ramiona znękaną duszę, leczy jej rany i koi bóle serdeczne. „Niechaj sobie czarni od pyłu powszedniości ludzie kleczą w nędznych budowach swych owe prawa, które mają nam przynieść przerażające aż szczęście. My idźmy sobie w las, idźmy do Boga, na łąki i blonia, gdzie ludzie się kochają, nad jezior tonie, gdzie samotnicy marzą — i zapomnijmy zupełnie, że ludzie gdzieś tam jakieś prawa tworzą. Oh! gdy można uciec na pola, na łąny, na łono snów cichych, na kwiatów posłanie; pod niebios kopułę. Jakże mała i uwagi niewarta rzecz wydajecie się wy, ludzie kłamstwa, kapłani fałszywi, tyrani okrutni, w dzowie krwawi! Jak prędko wśród wielkich wiewów, promieni i głosów niknicie nakształt widem znikomych! — Niechaj oni zaciekają się w szalonych swych przedsięwzięciach; my, dzieci moje, idźmy wyżej, tam, ku naturze. Maj wyzłocił jary; wszystko się śmieje; motyle uganiają się wesoło, drzewa w kwiecie stoją: pójźcie, uciekajmy na łono tego boskiego zapomnienia. Tam rozwiewają się wszystkie troski ziemskie; tam pół ożywcze tchnienie wokoło nas opłynie; tam uśmiechał się Voltaire, tam mażył Diderot; wonie i aromaty przekonywają nas; róże, niewiedzące o wielu rzeczach, które człowiek zna zbyt dobrze, pocieszają nas. Tam nie się nie przerywa, nie nie przestaje kielkować i rozkwitać; krzew różany, którego zapachem upajała się Ewa, dziś jeszcze przejmując balsamicznem tchnieniem nasze żaloby i miłości; barwinek jest bardziej wieczny od Rzymu; bo człowiek-to, o lasy i góry, trwa krótko, — kwiaty trwają wiecznie. Piramida po trzech tysiącach lat garbi się i rysuje: lilia ani jednaj nie ma zmarszczki. Ani kwiat, ani idea, ani piękno, ani prawda nie umierają; Bóg nieustannie wznawia ich młodość; śmierć — to jutrzienka nowe-

go życia, Bóg stworzył grób, aby przezeń wszystko odradzać się mogło. O świetności! o słodyczy! Przestrzeń bezgraniczna wypełnia się jednym wielkim drżeniem miłości i harmonii. Padnijmy na kolana w cichej kontemplacji. Głos wychodzi z nieba i przechodzi w żyły nasze: ztąd nasze pieśni głębokie, rytm rozlany jest w przestrzeni, a lira w nas zamknięta...¹⁾

Rytm ten przechodzi na struny serca poety i ta lira cudowna najpiękniejszymi rozdźwiękuje pieśniami. Poeta nie jest tu jeszcze filozofem, panteistą, lecz poprostu malarzem, artystą, upadającym na twarz przed tysiącami piękna kształtami i odzwierciedlającym je w utworach swych. Nie obejmuje jeszcze całości, nie widzi jeszcze w naturze — jak to się później dzieje, po dłuższym z nią obcowaniu — „olbrzymiej apokalipsy“, zadawalnia się oddzielnymi jej zjawiskami i obrazami, które z niezrównaną odtwarza barw żywością, drugoplanową, nieznaczną tylko czasami dorzucając refleksy lub *pointele*. Bardziej, niż wewnętrzna, ukryta treść bytu, interesuje go niesłychane bogactwo i malowniczość form jego i kształtów; umie odszukiwać wśród całej powodzi motywów najcharakterystyczniejsze i oddaje je z niesłychanym artyzmem. Jak w kalejdoskopie też najrozmaitsze w poezji jego przewijają się obrazy, a każdy specjalnym, właściwym sobie uderza kolorytem, każdy w innym, odpowiednim do tego kolorytu, ukazuje się oświetleniu. Już dawniej, z powodu liryczno-opisowych ustępów w „Liściach jesiennych“ („Bièvre“ i „Zachody słońca“), twierdził słusznie jeden z krytyków, że „poezja opisowa rzadkokiedy osiągała taką wypukłość krajobrazu, taką wydatność konturów, jak w tych utworach, które są śpiewającymi malowidłami.“ Jeden istotnie Lemoyne pochłubić się może takimi pociągami pędzla, z drobiazgowością malarza flamandzkiego, całą duszą rozkochanego w tym przedmiocie. Siła, plastyka i oryginalność wymienionych krajobrazów w „Liściach jesiennych“ są istotnie wyjątkowe, — tego rodzaju, jaki rzadko spotykać się daje. Za temi klejnotami poszły całe szeregi innych, w nich im nieustępujących, w „Pieśniach zmroku“, „Światłach i cieniach“, „Kontemplacjach“, „Legendzie Wieków“, a zwłaszcza w „Pieśniach ulic i lasów.“ Zdawałoby się, że poeta wszystkie już wyczerpał motywa, że zużył wszystkie barwy i kształty, że po tem wszystkim powtarzać-by się już winien. „Cztery wichry ducha“ dowiodły, że skarbnica jego obrazów jest niewyczerpalną, a „Cała lira“ daje nam znowu rzeczy tak świeże i nowe, jak gdyby poeta znowu całą seryą nieznaną dotąd rozpoczął motywów.

Oto przepyszny, horacyuszowskiej pogody i dowcipu, „List“ z cichego zakątka w Szampanii: „Szampania, w której przebywam, jest bardzo brzydka; lecz mniejsza o to: mam powietrze, trochę trawy, winną latorośl u drzwi moich; zresztą, nie jestem tutaj nadługo, nie mam z sobą moich dzieciaków, a więc sądzę, że mam prawo do ucieczki — myślę też o niej nieustannie. Codzień zabieram się do wyjazdu i — zostaje. Taki już jest człowiek... Żyję sobie. Wieczorem pola stoją w płomieniach od łua zachodu; rankiem przestrzeń jest pełna niewyraźnych rozdźwięków; ze wschodem słońca sygnaturka rozbrzmiewa ku niebu, do snu co wieczór głos dzwonów mię kołysze. Poezja? Frachciarz, z przekleństwem na ustach, kury rozdrapujące gruz przastarego muru, dalekie ujadania psów, wiodących wśród zmroku nieskończone dyalogi, a czasem hałaśliwy odlot dzikich ptaków. Małe to, bo brzydkie; tylko co piękne może być wielkiem. Ta wieś, gdzie słońce z niechęcią — zda się — co rano powstaje, nie daje mi, jak okiem przez okno zasięgnę, nic. Droga, — gleba przykra, jałowa, posępna, niewdzięczna. Kilka drzew rośnie samotnie; słucham z roztagnieniem rozmów wiatru z ich gałęziami. Wokoło płaszczyny brunatne, przerywane płaszczyznami białymi. Żadnej wyniosłości, łąki wyschłe i żółte, rzadko gdzie kawał zielonej darni. Całą rozrywką dla oka jest widoczna na

horyzoncie gromadka niskich dachów z dymiącymi kominami. Krajobraz cały płaski jak Merimée.“¹⁾ Nudna, niesmaczna okolica, jak żywa staje nam przed oczami i mimowoli odczuwamy tensam, nieco zgryźliwy nastrój, w jaki bezmyślna, usypiająca jednostajność równin nieprzejrzanych a jałowych wprowadziła poetę.

Z tych płaszczyzn odstręczających i *spleen'u* jakiegoś zarodki rozbudzających w duszy przeczucamy się nagle na strome, mgłami białymi osnute urwiska Pireneów. „Ranek. Lekkie opary, jak białe muśliny, podnoszą się naraz z borów olbrzymich, z rozpadlin czarnych, ze wzgórz i stoków, ze szczytów wyniosłych. Dzień niepewny, przyćmiony blaskiem pobiera widnokręgi; błady to brzask zaledwie; niebo, całe upowite. Niema ulubionego przez nas lazuru. Tyle mgły gęstej długimi szmatami podnosi się z parujących stoków tych gór prastarych! Wydaje się, że tylko co stanęły po szalonym pędzie z czasów prorockich — i człowiek chce powiedzieć, trwożny, osłupiały: — O, rumaki potworne! co za przestrzeń błyskawicą przebyć musiały, że z ich grzbieców takie kłęby pary buchają!...“²⁾ Wspaniała wizja, jaka mogła zrodzić się tylko wśród imponujących granitów i lęk rzucających przepaści pirenejskich! I znów zpośród tych widoków groźnych, tych skał spiętrzonych, tych potoków ryjących, tych chmur poszarpanych, przenosi nas poeta, jakby za dotknięciem la-cieczki czarodziej-skiej, na słoneczne równie, pełne kwiecica, zieleności i weselnego śpiewu ptaszęcych, między gaje tajemnicze, strugi błękitne, ziół wonne gąszcz. Tu on panem, tu władczą. „Ta trawa wysoka, jest moim państwem. Jam kochanek tajemniczy duszy ukrytej, która wzdycha w głębi lasu, w głębi niebios! Jam król pośród kwiatów różanych. Co za zachwyt — wmieszać się w gwarę ptaków, w wiatrów szumy, w pszczoł brzęki, w cały ruch i wzlot świata skrzydlatego! Drzewo spróchniałe tron mi tu daje; irys okiem błękitnym ogląda się za mną; pogrążam się w kontemplacji i zdaje mi się, że całuję skraj sukni Boga.“³⁾ Wśród czarów tych i cudów poeta nie chce być sam; chce się szczęściem swem dzielić z przyjaciółmi, chce i innych upoić rozkoszą, jakiej sam doznaje, i w pełnych niezrównanego powabu i lekkości strofkach zaprasza druhów do miluchnego zacisza wiejskiego w Normandii:

Przybywaj w to ustronie ciche,
Gdziem gniazdko szczęścia swego skrył,
Amor tu swej szukałby Psyche.
A Mnazyb z Chloe słodką żył.

Jeśli zachwycą cię muzyka,
Prawdziwy znajdziesz tu jej raj;
Gluck i Haydn obok pień słowika —
To suchotnicy nędzni dwaj.

Niebo, poeta, kwiat — radośnie
Tria śpiewają tu dzień w dzień.
O, te skowronków *sola* głośne!
O, *tutti* wilg — z tysiąca brzmień!

Hejnałem rannym chór ptaszęcy
Raczyć cię będzie tu co dnia;
Co ranek — lat już sześć tysięcy —
Operę tę jutrzeńka gra.

Przybywaj; dumne z obecności
Tweja pola, jako jeden sad.
Tysiąc wyświadczą ci grzeczności,
Którym z mieszcuchów każdy rad.

Marmurów nasze skały warte.
Co piękne, ładnem będzie też;
Wróbelki nasze, choć otwarte,
Dla ciebie grzeczne będą — wierz!

Radosny Maj i Czerwiec świeży
Nadejdą bardzo *à propos*,
Byś mógł usłyszeć, jak należy,
Jak dzwonki stad wesoło brzmia.

1) Ks. II, 3, „List“ tom I, str. 83.

2) Ks. II, 6, „W Canterers“, tom I, str. 91.

3) Ks. II, 14, „Lato w Coutances“, tom I, str. 109.

Przybywaj! Ujrysz raz kamasze,
Jakie tu nosi Normand-zuch;
By ciebie ujrzyć, w okna nasze
Tysiące wnet się wedrą much.

Wieczorem, idąc przez winnicę,
Zobaczysz Boga, co nam lśni,
Jak setne gwiazd zapala świecę
Do swej północnej, wielkiej mszy.

I zapomniemy wszystkie rzeczy,
Co każą śmiać się lub się truć:
Kłęski, niewdzięczny ród człowieczy,
Toń ciemną, w której ginie łoś.

Nikłość nadziei każdej w świecie,
Fałsz serc, tak krótki życia czas, —
I że w Augsburskiej gazecie
Już na kawałki krają nas. 1)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg.)

Słowa te ubodły w samo serce Ludę. Wyszła na runduk i stanęła obok króla i Dobryni. Twarz jej była blada, nie bojaźnią, lecz gniewem doznanej zniewagi, oczy zaś błyszczały łzami.

— Dobryniol — rzekła łagodnie, hamując łzy i gniew — tak odwdzięczasz się Koźniaczkównie za chleb, który jadłeś u starego wojewody? Com ci zawiniła, że mnie znieważasz? Kocham jego — skinęła ku miejscu, gdzie król stał — czy za to masz mnie znieważać? Dlaczego, mówisz, że urodzaj trzymam pod sercem? Albo nie jestem dzieckiem tego ludu, który z głodu mrzeć będzie: jakżebym mogła to uczynić? Nie zgadłeś. Dobryniol nie pod moim sercem są ziarna żyta, które przed ludem chowam, ale w sercu mojem jest miłość dla niego!

Wzruszona upadła na kolana przed królem.

— Mój panie, mój królu! — rzekła — Oddałam ci serce, boś mnie przygarnął i zlitował się nademną, otwórz więc go i przekonaj się: czy jest tam co innego, oprócz miłości dla ciebie? Ale strzeż się czarodzieja... on złe musi mieć zamiary, kiedy je kłamstwem pokrywał!

Bolesław podniósł zapłakaną Ludę.

— Nie bój się, moje dziecko... — Potem nachylił się ku niej i kilka słów powiedział.

Dziewki służebne pomogły jej odejść do górnicy.

Po odejściu Ludy król zwrócił się ku Dobryni:

— No, powiedz — że mi teraz, czy wróci szczęście, gdy dziewczkę odeślę?

Dobrynia niedowierzająco spojrzął na króla, jakby się lękał jakiej zasadzki.

— Wróci, królu, wróci... a w domu czeka cię sława...

Bolesław ruszył głową z niedowierzaniem.

— To jeszcze rzeczy dalekie! No, a powiedz, Dobryni, co mnie czeka, jeżeli dziewczki nie odeślę od siebie?

— Prawdę mam mówić?

— Prawdę..

— Nie boisz się prawdy posłyszeć, miłościwy królu? Ja prawdę mówię nie moją mocą... Mówiłem ja staremu Jarosławowi, mówiłem Wszesławowi i... tobie powiem...

1) Ks. II, 15, tom I, str. 111.

Wstrzymał się jednak chwilę, jakby się wahał. Wszyscy zamilkli, nateżyli słuch, a Bolesław bystre swoje źrenice utkwiał w twarzy Dobryni.

— Mów... — rzekł, ale w głosie tym czuć było gniew i stanowczość.

Dobrynia naciśnięty nie miał już wyjścia; pozwoli podniósł oczy na króla i długo nań patrzył.

— Chcesz, żadasz: więc ci powiem. Zanim nowy księżyc zabłyśnie na niebie, żyć przestaniesz.

Bolesław zmierzył go długiem, pogardliwym spojrzeniem.

— Wiele wiesz — odrzekł po chwili. — Powiedz mi teraz, czy ty każdego człowieka przyszłość odgadnąć możesz?

— Każdego! taką mi Bóg dał siłę.

Bolesław spokojnym, ale pogardliwym spojrzeniem mierzył Dobrynię.

— Powiedz więc, Dobryniu, co czeka ciebie teraz?

Stary widocznie nie spodziewał się takiego pytania. Drgnął na całym ciele, ale przytomności umysłu nie stracił; trzeba się było tą przytomnością ratować.

— Wiem, miłościwy królu...

— Powiedz...

— Pachołkom swoim każesz mnie powiesić! Ale przez to swego życia nie uratujesz...

Bolesław patrzył na przestraszonego Dobrynię i kiwał głową.

— Widzę, że jesteś zwykłym oszustem; tyle też wiesz o tem, co mnie spotka, jak i o tem, co spotka ciebie... Nie każę ciebie powiesić: nie zgadłeś... każę cię tylko wypędzić za bramę i nie wpuszczać więcej do Krasnego Dworu; ale strzeż się!

Dobrynia ledwie się opamiętał.

— Miłościwy królu — odrzekł, kłaniając się — Ludziom mówiłem prawdę i zgadywałem; dla ciebie chcę się pomylić, bo jesteś litościwym dla mnie.

Bolesław zwrócił się doń gniewnie.

— No, dosyć gawędy! Twoje wróżby skończone... Strzeż się, bo możesz zgadnąć z łatwością, co ciebie czeka, jeśli jeszcze raz poważysz mi się bałamucić ludzi wróżbami!

Już nic innego nie pozostawało Dobryni, jeno wyjść.

— Bolechu! każ pachołkom otworzyć bramę... Niech sobie ten człowiek idzie z Panem Bogiem.

Dobrynia chyłkiem wymknął się z runduku, kłaniając się na wszystkie strony, chociaż oprócz służby nie było nikogo; wyszedł otwartą szeroko furta.

Idąc do grydniczy, Bolesław skinął na Bolecha i do zbliżającego się rzekł:

— Trzeba tego starego lotra mieć na oku... on tu do nas w poselstwie z Wielkiego Dworu przychodzi. Poślij kogo, Bolechu, niech uważa: dokąd stary podążył?

Dobrynia rad był, że się z opałów wyrwał. Wyszedłszy więc za bramę Krasnego Dworu, skierował się ku drodze na Wasylów; szedł przyspieszonym krokiem, od czasu do czasu mimowolnie oglądając się poza siebie, jakby się obawiał pogoni; ale pogoni nie było. Dwóch pachołków królewskich stało przy furcie i żartując z niepomyślnego wróżbiarstwa, rozmawiało. Ile razy Dobrynia obrócił się, wołali do niego:

— Hej, stary! a chodź na miód do króla.

Dobrynia przyspieszał kroku.

— Nie uciekaj, stary — hop, hop!

Dobrynia udawał, że nie słyszy, ale przez zęby mruzczał:

— Niech was nieczysta siła porwie z waszym miodem... Poczekajcie! Nawarzę wam takiego miodu, że jeszcze w domu nie opamiętacie się...

Doszedł do lasu i zniknął na wąskiej drożynie, wiodącej na Berestowo, do dworu tysiackiego.

Już z południa dobrze stoczyło się słońce, kiedy Dobrynia wszedł na dziedziniec Wyszatycza. Gospodarz powitał go niewesoło; blade był i smutny. Na twarzy malowało się mu jakieś zmartwienie i walka z sobą samym. Spojrzył na Dobrynię i dostrzegł w nim zmianę.

— Zkąd-że wracasz, Dobryniu? — zapytał.

— Z Krasnego Dworu...

Twarz Wyszatycza ożywiła się nieco.

— I cóż?

Dobrynia zacisnął pięści.

— Co? Miodem uraczył! — rzekł w gniewie.

Wyszatyczowi oczy błysnęły ciekawością i gorączką. Błysnęła mu raz jeszcze nadzieja.

— Miodem uraczył... a potem jak psa wypędził i wyśmiał — mówił dalej Dobrynia. Nie, bojarynie! trzeba z nim skończyć! inaczej!... On tu na urągowisko Rusi siedzi, chleb nasz je, miody nasze pije, wojewodów i posadników kniaziewskich głaszcze...

Wyszatycz słuchał z pochyloną głową.

— A Luda? została? — zapytał nieśmiało.

— Została... przyjdzie czas i na nią. — Wstyd mu było przyznać się do niepowodzenia, przyznać się do tego, jak sam siebie ośmieszył na Krasnym Dworze.

Zapanowało długie milczenie.

— Wiedziałem, spodziewałem się, że tak będzie — rzekł Wyszatycz — silniejsze jest serce ludzkie, niż twoje czary... już ona do mnie nie będzie należeć...

Dobrynia podniósł głowę i dumnym spojrzeniem zmierzył Wyszatycza.

— Hej, bojarynie! Luda twoja nie łabędź, a ja nie sokół, abym ją porwał do góry i do ciebie przyniosł! Strzegą jej tam dziewczki i pachołki... Czeka! Czasu jeszcze mamy dosyć... trzeba dobrą porę upatrzeć...

Wyszatycz smutnie pokiwiał głową.

— Czekać? Już dosyć... trzeba skończyć czekanie...

W słowach tych było tyle smutku, taka głębia bólesć, że Dobryni żal się zrobiło młodego bojarina.

— Ona będzie u nóg twoich bić czołem! — mówił na pociechę.

— Nie pocieszaj mnie, stary! — odrzekł łagodnie Wyszatycz. — Kochałem bardzo Ludę: cóż dziwnego? Rośliśmy, bawiliśmy się razem, jak dzieci, rodzice nas przeznaczali dla siebie — a stało się inaczej! Na moją tęsknotę już chyba niema lekarstwa...

— Czekaj tylko — mówił namiętnie Dobrynia z taką pewnością, jakby w prawdę słów swoich wierzył — u nóg twoich leżeć będzie! Zamówię, zaklnę twój smutek i tęsknotę...

Wyszatycz widocznie miał jakąś myśl w głowie, bo na mowę Dobryni był obojętny.

— Próbuje... rób co chcesz... — rzekł z rezygnacją.

— Nikomu jeszcze z moją służbą nie narzucałem się — mówił Dobrynia — ale tobie chciałbym pomódz; widzę, że się smucisz, że tęsknisz, żal mi ciebie, młody bojarynie...

Wyszatycz wydawał się zrezygnowanym i spokojnym.

— Czekaj do pierwszej gwiazdy — rzekł Dobrynia — zamówię twój smutek.

Błysnęła pierwsza gwiazda na niebie. Dobrynia wyszedł na runduk, ujął za rękę Wyszatycza, do gwiazdy się zwrócił i szeptać począł:

— Na morzu, na Kijanie, na wyspie, na Bujanie, pod dębem na polanie, siedzi Jan i tęskni — tęskni smutkiem niewiadomym, tęsknotą cichą. Hej, ty, chłopcze, zamysłony! Czego ty smutny siedzisz pod dębem od rana do wieczora? Po co siedzisz na polanie, na wyspie na Bujanie, na morzu na Kijanie? Wiem czego ty smutny, po kim tęskni serce twoje: spotkało ciebie nie szczęście na gładkiej drodze, wpadła tęsknota do serca. Szumi, boli główka twoja, cały świat niemiły... Powstań śmiało, chłopcze, wyrwij swą tęsknotę, rzuć ją precz od siebie, za dalekie góry, w daleką okolicę; niech precz leci od ciebie, niech nie spocznie nigdzie, ani na drodze krzyżowej, ani na wsi, ani w pogoście. Zamawiam ciebie, ty zła tęsknoto, porzuć serce młodzieńcze, zgiń, przypadnij od tego dnia, od tej godziny, od tej chwili — a zaklęcia mego niech żaden zły duch nie przemoże...

Tak szeptał Dobrynia, zwrócony do gwiazdy. Wyszatycz stał na runduku i patrzył na starego czarodzieja. Kiedyniekiedy do jego uszu jakiś wyraz z tajemniczego zaklęcia doleciał; ale Wyszatycz, pogrążony sam w sobie, słuchał i pa-

trzył na to wszystko obojętnie, zrezygnowany i uspokojony czemś innym, niż zaklęcie Dobryni.

Skończywszy zaklęcia, Dobrynia zbliżył się do Wyszatycza, stojącego na runduku.

— Bojarynie! przypadnie twoja tęsknota — rzekł pocieszając go — zginie, jak noc ginie przed słońcem...

Zmrok już zapadał. Dobrynia do Wyszatycza się zwrócił.

— Czas mi do domu, bojarynie... Zaszedłem tu, aby was pozdrawić... pora już wrócić...

— Noc, Dobryniu, zanocuj... rankiem lepiej pójdziesz...

— Nie mogę, bojarynie, nie mogę... muszę iść... droga niedaleka... stara pomyśli, że mnie może na Krasnym Dworze powiesili, jeśli nie wrócę — dodał żartobliwie.

— Wola twoja... jak chcesz, tak i zrobisz.

Dobrynia poszedł. Wyszatycz został na runduku. Noc już zapadła głucha, a Wyszatycz nie wchodził do izby. Siedział na ławce na runduku milczący i patrzył przed siebie.

— Nie pomogą twoje zaklęcia stary... — rzekł sam do siebie. — Jest większa siła w ludzkiej miłości, niż w twoich czarach. Luda kocha jego, a nie mnie: cóż ja winien, że mnie nie kocha? Cóż on winien, że kocha jego? On jej przecie nie szukał, nie posyłał pachołków do domu, aby ją z rodzicielskiego gniazda porwać i ozdobić nią choromy swoje? Kto winien?

Po chwili dał sam sobie odpowiedź.

— Ten rozbójnik rudobrody... on ojca powiesić kazał... gdyby nie to, byłaby Luda nigdy Krasnego Dworu nie widziała! Teraz on, tensam, co pozabijał naszych braci i krewnych, ciągnie mnie do siebie... wiem po co ciągnie, wiem dokąd! Zda się mi, że Bolesław zagradza mu drogę do serc ludzkich: nie więc dziwnego, że chce z nim taksamo skończyć, jak z Wszesławem pod Orszą... Do tej uczty krwawej mnie zaprasza! — Nie, ja do niej ze Sławoszą nie zasiadę! Niech sam te miody i wina pijel! Ojciec mój i dziad służyli matce Rusi i kniaziom, ale nie rozbójnikom; bili nieprzyjaciół, ale na niewinnych rękach ich nie podnosiła się nigdy: i ja pamięci ich cudzą krwią plamić nie będę... Nie, nie będę! Jest jakiś głos, który mi szepta w cichości: zabójstwem nie kupisz spokoju, nie kupisz serca i miłości tej, która ciebie nie kocha...

Patrzył na połyskującą wśród nocy, złoconą kopułę Ławry Peczerskiej i długo rozmyślał w cichości, a zdało mu się, że wśród ciszy jakiś szeptał mu:

— Jest prawda na świecie, jest na świecie spokój...

Powiódł okiem po niebie, potem znowu wzrok zatrzymał na kopule Ławry, a tensam głos szeptał mu do ucha:

— Prawda — to Bóg... to ta wielkość, która ciebie otacza... to niebo niezmierzone, to gwiazdy, które wiszą nad tobą... Rzuć się w te ramiona, zgiń, rozplyń się jak powietrze w tym potężnym świecie, a staniesz się tak spokojnym, jak on jest spokojnym...

Już dawno koguty przepiały północ. Niebo wyiskrzyło się gwiazdami, a zdaleka, zza Dniepru wysuwała się czerwona twarz księżycy, który podnosił się coraz wyżej i wyżej, bladł, mlał, ale bladym swoim światłem gasił gwiazdy dokoła. Na Berestowie wszyscy już spali, oprócz Wyszatycza. Śród tej ciszy dolatywał do jego uszu kiedyniekiedy poryk dzikiego zwierza z okolicznych lasów, jakiś oderwany krzyk nocnego ptaka, który echem przeleciał po całej okolicy lub też rozlegało się szczekanie psów i mieszało z głosami nocnego chóru. Wyszatycz ciągle siedział i myślał.

Wtem od strony Peczerskiej Ławry odezwał się dzwon na jutrznią i, odbijając się echem po lasach sąsiednich, doleciał uszu Wyszatycza.

Wyszatycz powstał z ławeczki, zwrócił się w tę stronę, z kądem migająca pozłocista kopuła peczerskiego monasteru, i począł żegnać się, głośno wymawiając: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen” i za każdym razem schylał się ku ziemi. Ile razy słowa z ust jego wychodziły, czuć było, że głos mu brzmiał pokorą i łzami. Przeżegnawszy się kilka razy stał, trzymając się ręką dre-

wnianej poręczy, otaczającej runduk, patrzył w kierunku Ławry, a lzy staczały mu się grube po policzkach. Głos dzwonu długo jeszcze wołał nabożnych na jutrznią. Zasluchanemu Wyszatyczowi zdawało się, że głos ten coś mówi do niego, że on tę mowę, żałośnie kołatającą mu do duszy, rozumie; dzwon niby szeptał mu do ucha:

— „Wszystkie żądze ludzkie są niczem na świecie... Wszystkie usiłowania ludzkie—to szamotanie się skrępowanego ducha na ziemi... Na ziemi niema spokoju, na ziemi niema szczęścia: do mnie chodźcie, którzy cierpicie: ja was pocieszę... Ja przed wami otworzę podwoje nieznanego wain świata, gdzie znajdziecie spokój, ciszę, szczęście wieczne...”

Zamilkł dzwon, a Wyszatycz stał jeszcze i dumiał. Do dnia było daleko, kiedy nagle powstał i pewnym krokiem zdażył ku furcie. Furta była zamknięta; popróbował zawory, trzymały mocno. Strażnik dojrzał zdaleka jakąś postać, stojącą przy furcie i krzyknął nań: odpowiedzi nie było. Zbliżył się tedy do furty i poznał Wyszatycza.

— Otwórz — rzekł mu tysiacki.

Strażnik, milcząc, otworzył i Wyszatycza wypuścił. Młodzieniec skierował się naprawo, na wązkę drożynę, wiodącą do Pieczary i do studni św. Antoniego.

Już postać tysiackiego zginęła we mgle nocej na wązkiej ścieżynie, a strażnik stał jeszcze, patrzył i dziwił się.

— Sam poszedł... piechota! Na jutrznią pewnie...

Droga była znana; nie mógł pójść gdzieindziej, tylko do Ławry. Co go tam ciągnęło? Po co poszedł? Poszedł za głosem jakimś, który go wołał. Tęsknota, żal, smutek, rozmyślanie nad sobą rozkołysały jego wyobraźnię i serce. Potrzebował uspokoić samego siebie.

Leśną drożyną szedł powoli. Jeszcze do ranka było daleko, ale świt już szarzeć починаł. Na wązkiej ścieżce, którą podążał, było ciemno i głucho, przygasające gwiazdy ledwie mu oświecały drogę i gasły jedna po drugiej. Kiedyniekiedy dolatywał go huk złudzonej sowy, świegot drobnego ptactwa, doliną rozlegał się poryk wychodzącego na pastwisko bydła. Ranek poczynał już czerwienieć na niebie, kiedy Wyszatycz spuszczał się ku dolinie, przez którą prowadziła ścieżka, obok studni św. Antoniego, do pieczary. Zbliżywszy się do studni, przeżegnał się kilkakrotnie, zaczerpnął drewnianym czerpakiem, leżącym obok, wody, napił się nieco i poszedł do góry.

Pieczara była otwarta. Przedstawiała się ona zewnątrz, jako niewielki otwór, który zamykał się prostymi, zbitymi z drzewa małego ociosanego, drzwiami. Przez otwarte drzwi widać było, że co chwila któryś z nabożnych z zapaloną świecą zbliżał się do otworu i znikał. Wszedł i Wyszatycz. Spuściwszy się kilka kroków w dół, znalazł się w wązkim i ciemnym kurrytarzu. Zdaleka błyszczała przed nim zapalona woskowa świeca nabożnego pielgrzyma, spieszącego na jutrznią i co chwila ginęła na skrętach podziemnych kurrytarzy. Uderzał go zapach stęchlizny, zmieszany z zapachem woskowej świecy zgaszonej i z dymem kadzidła; wśród ciemności i niewyraźnego szumu podziemia dolatywał głos przegłoszonego śpiewu, który rozpływał się echem na załomach kurrytarzy i w niszach, gdzie spoczywały ciała świątobliwych ojców, opiekunów, zatworników Ławry Peczerskiej. Śpiew coraz stawał się wyrazitszym, gromadka nabożnych coraz liczniejszą. Wązki kurrytarz pieczary napelniał się ludem, który żegnał się, bił poklony i modlił się; nad odkrytymi głowami mętne czerwone światłem paliły się świece woskowe, a płomieniem ich powiewał wiatr na wszystkie strony.

W dali widać było malutką cerkiewkę, z kądem dolatywała woń myrry i głos psalmów: „Panie zmiłuj się nad nami! Panie, zmiłuj się nad nami, bo miłosierdzie Twoje bez końca...”

Wyszatycz, oparłszy się o ścianę niszy, modlił się, jakby jaki pokutnik i asceta: nigdy może jeszcze nie modlił się tak gorąco. W tem głuchem i na półciemnym podziemiu, gdzie spoczywały

ciała błogosławionych, którzy w spokoju dokonali żywota, czuł się bliższym Boga, bliższym źródła wiecznego spokoju. Tak w skupieniu ducha dotrwał aż do końca nabożeństwa.

Kiedy po skończonej jutrzni poczył lud tłumnie z pieczar wychodzić, Wyszatycz stał jeszcze oparty o niszę i rozmyślał. Rzadko-któ go poznał, a poznawszy, nie dziwił się weale, bo był to czas panowania głębokiej wiary, którą św. Antoni i Teodozy rozniecili dokoła. Za ludem poczęli wychodzić czerńcy; długi ich szereg za kończał ojciec Jeremi. Był to as eta, który od chwili wstąpienia do peczerskiego monasteru żył chlebem i wodą, modlił się, uczył lub leczył chore dzieci, przynoszone do niego przez matki. nieraz z dalekiej okolicy, i święte księgi dla różnych klasztorów przepisywał. Liczył już sto lat przeszło, ale ciało jego było zdrowe i silne; chodził, nie opierając się nigdy o laskę, twarz miał świeżą, a na niej malowało się tyle spokoju, taka cichość życia, że nikt-by tu nie dostrzegł najmniejszego śladu przeżytych lat i cierpień.

Idąc wązkim kurrytarzem podziemia, patrzył spokojnym okiem przed siebie, jakgdyby błogosławił tłumowi nabożnego ludu, który posuwał się przed nim z pokorą. W niszy dostrzegł Wyszatycza. Znał go, znał Kośniaczka, Ludę, znał cały Kijów. Uderzyło go to niezwykle zjawienie się młodego tysiackiego w pieczarach, ale nie śmiał mu przerwać rozmyślenia; skinął tylko głową ku niemu i poszedł dalej.

Wkrótce wyszedł i Wyszatycz; modlitwa użyła mu trochę, ale jeszcze kamień tęsknoty i smutku przygniatał serce. Kiedy, po wyjściu z pieczary, wiatr go świeży owionął, zdawało mu się, że jakaś siła niewidzialna ciągnie go napowrót do pieczar.

— Pójdę... otworzę duszę przed Jeremim — pomyślał sobie — niech da radę, abym się sam ze sobą pogodził...

Celka ojca Jeremiego była niedaleko cerkwi peczerskiej, na górze. Poszedł więc. Już dzień się zrobił; lud rozszedł się do domów, do pracy; wielki dziedziniec klasztoru pusty był i głuchy; Czerńcy, odśpiewawszy jutrznią, rozeszli się do cel na odpoczynek. Tuż za dzwonem cerkiewnym Jeremi miał swoją celkę, przy niej mały ogródek kwiatowy i kilka jabłonek, które starzec ręką własną pielęgnował. Dwa okienka małe, opatrzone kratami drewnianymi a obciążone pęcherzem, wychodziły na ogródek. Jeremi otworzył je, idąc na jutrznią, ażeby świeże powietrze i woń kwiatów napelniły samotną celę. Siwobrody czerniec, powróciwszy z jutrzni, posilił się kawałkiem chleba z wodą i zasiadł do roboty. Pod oknem celki stał stół drewniany, na którym leżało kilka zwitków papyrusowych, kilka ksiąg teologicznych, żywoty świętych, Paterykon peczerski, a, pomiędzy niemi schowany, wyglądał krzyżyk mały dębowy, odręcznej roboty. Krzyż był prosty, jak i wszystko w tej izbie; nie było na nim wizerunku ukrzyżowanego Chrystusa, ale całą swoją prostotą krzyż ten przypominał godło męczeńskiego życia i godło nadziei. Obok stołu stał ociosany zgruba pień, na którym czerniec siadywał do pisania. Pościeli brakło zupełnie; w kącie leżał tylko kawałek drzewa, na którym Jeremi opierał do spoczynku głowę, sypiąc na ziemi; niedaleko tego łoża stał gliniany dzbanek, napelniony wodą, którą starzec sam sobie ze studni nosił.

Ojciec Jeremi, wróciwszy, usiadł przy stole, rozwinął swój pergamin i pisać poczył. Niedługo pisał, kiedy posłyszał za drzwiami niby łkanie, niby czyjąś modlitwę; otworzył pomalutku drzwi od celi i ujrzał przed drzwiami klęczącego człowieka, który, pochylony głowę ku ziemi i ukrywając twarz w rękach, łkał głośno i gwałtownie. Jeremi poznał Wyszatycza, zbliżył się ku niemu i dotknął się zlekka ramienia.

— Co ci jest, biedny mój synu?

Wyszatycz podniósł nieco głowę i obiema rękami cepił się nóg Jeremiego...

— Ojcie, błogosław mnie... Ciężko żyć na świecie; miejsca sobie znaleźć nie mogę...

Ojciec Jeremi podniósł ręce nad głowę Wyszatycza i głosem wzruszonym przemówił:

— Niech ci błogosławią, mój synu, święci An-

toni i Teodozy peczerscy... Wstań... chodź do mojej celi. Wyszatycz powstał i, jak dziecko posłuszny starcowi, wszedł z nim do celi.

Jeremi posadził go na kłocu drzewa, który mu służył za stółek, stanął przed nim i wpatrywał się w smutną, znękaną twarz Jana.

— Widzisz, mój synu, do czego doszedłeś? Do serca twego wpadła zazdrość, zazdrość zrodziła chęć zemsty, zemsta zbudziła myśl o zbrodni...

Wyszatycz pochylał głowę i milczał. Ojciec Jeremi czytał w jego duszy, jak w księdze otwartej.

— Wdałeś się z nieprzyjaciółmi Boga — i cóż ci oni, bezsilni, dać mogli? Przyprawdzili cię tylko nad brzegi tej przepaści, nad którą sami stojąc, czekają strasznego końca. Dobry duch ojca i matki ustrzegł cię w sam czas jeszcze...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

LXV.

Dwie damy, komedia w 3-eh aktach z włoskiego, *Pawła Ferrari'ego*, przekład *Maryana Gawalewicza*; pierwsze przedstawienie w Teatrze Wielkim, na poranku jubileuszowym pani Alexandry Rakiewiczowej, d. 14 Października r. b.

Także kwestya! Tytu powołanych i niepowołanych stawia najrozmaitsze kwestye, że p. Paweł Ferrari zapragnął także mieć swój własny pałacyk z kwestyi etyczno-społecznej. Zdmuchnąć go wprawdzie łatwo, ale przyjemność w stawianiu miał autor takąsamą, jakgdyby budował rzecz niespożyta. Dla tej przyjemności napisał swoje „Dwie damy”; szkoda tylko, że mniej dbał o widza, niż o samego siebie. Kwestya w jego utworze wcielona dla powszechnego rozsądku żadną zgoła kwestyą być nie może: jest poprostu dziwactwem, powstałym z chorobliwego dążenia do oryginalności, do czegoś, co by przedtem nikomu jeszcze nie przyszło do głowy. Żadnego z rzeczywistych zagadnień życia, czy-to ze stanowiska satyry, czy filozofii obyczajowej, żadnej z ran bądź społecznego porządku, bądź gromadnej lub indywidualnej moralności, p. Ferrari nie porusza: bawi się tylko własnym swoim conceptem, na który się zdobył, zrywając węzeł twórczy z rzeczywistością i prawdą. Wypadek udratyzowany w *Dwóch damach* mógł się zdarzyć w wyjątkowych jakichś okolicznościach i przy współdziałaniu wyjątkowej natury ludzkiej; ale takie prawdopodobieństwo, wyrażające się w jakiejś jednejmilionowej, nie wystarczy do obudzenia wiary i współczucia w widzu, a tem mniej do zakłócenia wypadku w kwestyą, którąby rzetelnie już rozwiązywaną, czy rozplątywaną, być potrzebowała.

Autor idzie po kwiaty na bagniste moczary. Przed dwadziestu laty w Londynie dzisiejsza margrabina Leonora Permanzo Dariberto była takąsamą wietrzną, jaką jest dziś kobieta, mająca zostać jej synową, Emma Stuart.

Dla odwrócenia niebezpieczeństwa o syna, Wiktora, —któremu sam kodex cywilny małżeństwa bez pozwolenia rodziców zakazywał—ta dama, jedna z dwóch, nie znajduje innego sposobu, nad odsłonięcie przed dzieckiem własnej swej przeszłości. Przez lat dwadzieścia wiodła życie wzorowe; żyła tylko dla męża, dla dzieci, dla obowiązków swoich. Odrzucona niegdyś przez „świat”, znać go teraz nie chciała; nie bywała nigdzie; przyjemnością jej było miłowanie dzieci zblizka i zdaleka, pisywanie do nich codziennych listów, gdy ich przy sobie nie miała, wreszcie gra na fortepianie, jak na amatorkę, niepoślednia.

Taką widzimy p. Permanzo w dramacie—już gotową, pasowaną na cnotliwą kobietę i najlepszą matkę. Więcej od samego dramatu zaciękałyby nas prolog, znany tylko z opowiadania; ale p. Ferrari nie chciał ani sam błąkać się ani widza oprowadzać po labiryncie, w którego cie-

mnym zabytku ukrywała się cnota wyrosła z niecnoty; wolał nam raczej pokazać matkę poświęcającą dla dziecka owoc dwudziestoletniej swej uczciwości: wstręt do moralnej brzydoty, wyrzekającą się miłości własnej i tej wielkiej wartości społecznej, jaką jest honor,—matkę stawającą bohaterko do rozprawy z potęgą ciemności i ostatecznie ocalającą najukochańsze swe dziecko—szczęśliwym tylko przypadkiem. Bo pomyślnie rozwiązanie „kwestyi“, tak pracowicie naciągniętej, tylko pod kategorią szczęśliwego przypadku podsunąć można: trzeba było wyjątkowego charakteru, aby od strasznej prawdy nie złamał się i zamiast miłości zdrożnej nie pozbył się prawowitej i dobrej—a pytanie jeszcze wielkie: czy ta wyjątkowość może być stawiana za wzór, czy można dla niej żądać uznania i współczucia? Matka wyjawiająca taką tajemnicę przed dzieckiem wiedzieć powinna, dzięki instynktowi macierzyństwa, że się dopuszcza moralnego dzieciobójstwa. Tajemnica taka może nie zabić w jakimś danym wypadku, ale zabije w stutysiącach wypadków zwykłych, jakie życie ze sobą przynosi. Gdyby przynajmniej matka ważąca się na taki cios działała w stanie konieczności! Ale pani Permanzo chodzi tylko w jarzmie autorskiego widzi mi się, motylkującego za tragicznością. Przy innym mężu, przy innym, nie automatycznym, ojcu rodziny i panu domu, przy większym własnym rozsądku praktycznym,—ta kobieta rozumna, dobra, szczerą, mogła być znaleźć inną, łatwiejszą i niezawodniejszą drogę.

Takie Emmy niejednym młodzieniec na bezdrożach swych spotyka, i bez wielkich tragedii rodzice lub przyjaciele uprzężają je z drogi. Tragiczność najstraszniejsza, jaką serce ludzkie w jednostkowym byciu swoim przeżyć może, jest w komedii Ferrariego zbyt wielkim zaszczytem dla przygody względnie trywialnej. Przytem autor jedno dziwactwo wypycha drugim. Leonora ukrywa umyślnie za kotarą księcia de Gonzaga Lambrini, od którego zależy los jej córki, bo ożeniecie się jego synowca Leopolda z Matyldą, aby dać staremu arystokracji możność wysłuchania spowiedzi jej z życia. Tym sposobem człowiek uważający za niegodziwość samo już tylko szlachectwo nie dość stare, ma naraz przekonać się do pochodzenia z bagniska, czy jakiegoś śmietnika społecznego. Takie prawdziwie cyrkowe *salto mortale*, jakim p. Ferrari obdarza widzów w zakończeniu swej komedii, wyprowadzając zpoza sławnej kotary starego dziwaka, zezwalającego już na małżeństwo—nawet w tak awanturniczo zarysowanym utworze było najzupełniejszą niespodzianką.

Sam ten akt trzeci, w którym się rozgrywa tragedia pomiędzy matką, synem a błędnym ognikiem międzynarodowym, pozbawionym gdzieś na Morzu Czerwonem, napisany jest dramatycznie i zajmuje. Z pierwszego możnaby połowę wyrzucić, jako zbyt cenną; w drugim zasługuje na uwagę tylko stary ów dziwak, średniowieczny nietoperz z Mantui. Autor przesadził w nim miarę dwactwa tak, że z istoty dramatycznej, która wola swoją ma czegoś dokazać w dramacie, uczynił tylko jaskrawe malowidło satyryczne, spełniające jedynie funkcją uciechy obrazu do oglądania. Jedyną rolą w sztuce jest rola nieszczęśliwej matki—niewłaściwa w utworze nazwanym komedią, ale sama w sobie,—bez względu na krytykę charakteru, na prawdopodobieństwo i konieczność jego czynów,—dramatyczna. Dla tej jednej roli też wydaje się napisaną całą komedią. Mąż jest automatem, córka cieniem, syn z trzeciego aktu nieusprawiedliwionym przez syna z drugiego; otoczenie całe, albo się nie wiąże z głównym tematem, albo też przeznaczone jest tylko pod pręgierz satyry. Charakter bohaterki uzupełnił autor dobrze rysem odrzuconej przyjaźni hrabiego Sernegri, znajomego z lat dawnych, bardzo dawnych, lat, o których lepiej byłoby zupełnie zapomnieć. Bohaterka żyje, działa, wzbudza ruch naokoło siebie: dramat cały jest dla niej.

Podjąwszy temat bagniskowy, p. Ferrari nie wahał się rzucić go na tło wcale nie wronnych od cnoty obyczajów. Czyżby już tak źle było z obyczajami włoskimi, że samo wytoczenie smutnego

processu przeszłości, z obrazą uczuć i stosunków nieomal nietykalnych — nie mogło jeszcze zadowolić autora, i musiał nas prócz upadku moralnego dwóch kobiet, obdarzyć jeszcze lekkim życiem margrabinę Hortensyi Permanzo, a wielkiem do niego powołaniem jej córki, Estery? Opoziwanie regulaminu zabaw i spacerów na pensyi wygląda dość rzetelnie jako charakterystyka rzeczywistości — nie do pozazdroszczenia. W całej komedii jest tylko jedna prawdziwie bez zarzutu, bez skazy na życiu swoim kobieta: Matylda, córka bohaterki, ale dzięki temu może tylko, że *kobieta* jeszcze nie jest. Romansowanie Estery z muzykusem Quintinim, wesołe zabawy pani Hortensyi, swada oszczercza Laury Montalbano, łatwość, z jaką uniwersalna Emma Stuart posiadała tajemnicę uczciwej dziś kobiety — nie mają przeciwko sobie nic, prócz dość zresztą niemrawej uczciwości hrabiego Sernegri. Ogólny koloryt obyczajów jest silnie sadzą przejęty.

Z wyjątkiem trzech postaci: samej Leonory, jej bratowej i starego dziwaka — charakterów w artystycznym pojęciu sztuka Ferrariego wykonać nie zdoła. Wysłowienie w niej wogóle jest dobre — znajdzie się i trochę dowcipu. Układ grzeszy rozwlekłością. Akty są niebywale długie, a w dwóch pierwszych watość działania usposabia widza do znużenia. Jako *roboata* konstrukcyjna najlepszym jest zaciekawienie widza do poznania owej tajemniczej przyczyny megaliansu, jakiego się dopuścił margrabia Robert, pojmując w małżeństwo Leonorę. Przez dwa pierwsze akty domyślać się można tylko nieszlacheckiego pochodzenia; w trzecim dopiero występuje osobista tragedia.

Dlaczego ta sztuka doczekała się przekładu? — bo jest oryginalną przez swój pomysł i zdawało się tłumaczowi, że zajmie słuchaczy. Może być, iż rola Leonory, nadająca się tak dobrze dla pani Rakiewiczowej, przy wyborze nowej sztuki na trzydziestoletni jubileusz sceniczny tej zdolnej i słusnie cenionej artystki była rozstrzygającą. Dość, że zasób sztuk bieżących na naszej scenie wzbogacił się i włoszczyzną, niezasilającą nas dziś tak jak ongi w XVI wieku. Z literatury włoskiej bardzo dziś mało bierzemy — zdaje się, że nie tylko my, ale i cała Europa, — a scena włoska rzadkokiedy rozszerza się pod rozleglejsze widnokręgi. Gdy już wybierać, to co mogącogo mieć trwalszą wartość. Może p. Gawalewicz — jeśli już w tym kierunku szukać postanowił, — znajdzie dla nas coś lepszego od *Dwóch Dam*, a raczej: dwóch „*donn*“ — bo same „*damy*“ tu jakoś nie wystarczają: potrzeba dodać koniecznie „*serca*.“ Przydałoby się przekładowi jeszcze raz przejście po nim z piórem w rękę: są, wprawdzie nieliczne, ale są, usterki, i te usunąć potrzeba.

Sama solenizantka bardzo dobrze wykonała rolę Leonory, znalazłszy w akcie III stosowne dla siebie pole do okazania tego skupienia, powagi i siły, w których talent jej głównie się wypromienia. P. Leszczyński jako książę Lambrini, wszedł w nowy swój okres ról starszych charakterystycznych: próba się udała; były w roli rysy dobrze podchwycocy; dalsze przedstawienia pozwolą całość wykończyć, tu ścierając zbyt ostrą powierzchnią, tam znów rzeźbiąc to, co gładkiem być nie powinno. Rola pani Ludowej odpowiadała zwykłym jej typowi; grała ją artystka z dobrem ożywieniem, wynagradzając widza za to, czego mu nie dał aktor w akcie I. Inne role pomijamy; kolleżeństwo, które je podjęło, ma samo przez się prawo do najszczerzego uznania.

Stanisław Krzemiński.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Października 1888 r.

Powrót lata. — Polowanie. — Obojętność nemrodów. — Moda. — Co ma zastąpić łowy? — Amatorowie fotografii. — Nowy bzik wielkiego świata. — Giełda fotograficzna. — Nieprzyzwoitość w literaturze. — Obrachunek zrobiony w powieściach Zoli. — Renan i jego „Ksieni.“ — Ciekawy list do dyrektora Wolnego Teatru. — Wielka literacka atrakcja — „Pamiętnik Fryderyka

III-go. — Rapport kanclerza i opinia we Francji. — P. Chvreul i ludzie wiekowi. — Warszawianka najstarszą z osób stuletnich we Francji. — Słowo w jej sprawie. — Śmierć marszałka Bazaine'a — (Osobiste wspomnienia. — Straszny przykład. — Śmierć marlarza Boulanger'a i aktora Bertheliera.

Wrzesień wynagrodził nas sówicie za trzy poprzednie miesiące bezsłoneczne. Jesień zastępuje lato!.. Pogoda, słońce, jasne i śliczne dni, ostatecznie uśmiechy uciekającego przed zimą lata. Umiarkowane ciepło przy jasnym słońcu, — to rozkosz prawdziwa!.. Pogoda zatrzymuje jeszcze daleko od miasta szczęśliwych zbiegów. Nakoniec doczekaliśmy się prawdziwej rozkoszy willegiatury. Zalewani dotychczas wodami z niebieskich upustów, zaczynają nareszcie oddychać tem, czego szukali: ciepłem, czystym i zdrowym powietrzem. Jeszcze więc rzadki jest ów ptaszek, coby dobrowolnie wracał do Paryża, chociaż w tę cudowną porę jesieni, Paryż ten jest może najpiękniejszy, najmiłszy i najbardziej strojny, w snu bogate szaty — zieleni i kwiatów. Literalnie nurzamy się w blasku barw, któremu nic chyba nie dorówna na kontynencie europejskim — oczywiście, Konstantynopol, na krańcu kontynentu leżący, nie wcho dzi tu w rachubę. Dość spojrzeć z wysokości St. Cloud lub Montretout, aby się przeświadczyć, że jest to „miasto światła,“ — jak je nazywał Wiktor Hugo.

Jedną z głównych atrakcyj, które zatrzymują na wsi paryżkich zbiegów, jest polowanie, otwarte właśnie we Wrześniu już urzędownie. Ale, niestety, jest to zabawa, zbyt kosztowna tutaj, aby mogła być przystępną dla wszystkich. Polowanie więc, zaczyna tracić pomału wielkie swe powodzenie dawniejsze.

Zabawa ta, wraz ze swymi wymaganiami i kosztami, przeszła dziś prawie wyłącznie w ręce Semitów — tak, Semitów. Biedny nasz żydek z Franciszkanów z trudnością-by zrozumiał ten zapal tutejszych Izraelitów do mordowania niewinnych zajęcy i królików.

To zaarendowanie myślistwa przez wielkich i małych bankierów paryżkich rzuciło nań nakoniec jakby pewien odcień *spopolitowania* tego, tak dotąd arystokratycznego, sportu. Powoli budzi się reakcja. Zaczynają się krzyki na te zamknięte i ogrodzone obszary, wynajmowane na lasach i polach skarbowych; rząd zaczyna robić trudności. Wielkie, spraszane polowania, zaczynają się zapełniać *superprodukcją* czysto-demokratycznych pokładów... coraz-to mniej licząc, prawdziwych herbowych nemrodów.

Niema nad czem biadać, niema czego płakać. Każdy z kolei zasiądzie do tej uczty, która dotąd była skonfiskowaną na korzyść pewnej klasy osób. Tylko ze zniknięciem tych wyborowych rusznic, zniknie i ten polor, ta cecha wyłączna, której wiekowej tradycji żadna improwizacja zastąpić nie zdoła. Mniej się więc dzisiaj upędzają za łowami, niż dawniej, i zaczyna to powoli wychodzić z mody. Żydzi, trzymający dzisiaj łowy w dzierżawie, gdy poczują około siebie tę próżnią wielkości, wyjdą ze szranek i dadzą za wygraną chudopacholkom.

A że tu próżniacy wielkiego świata nie mogą pozostać ani chwili bez pewnego zajęcia — i jakiegoż-to zajęcia! — więc weszło dziś w modę u tych lubyh próżniaków, płci obojga, bawić się w *fotografia*... Ktokolwiek chce pokazać, że jest w ruchu (*dans le mouvement*) w pociągu (*dans le train*) swojego świata, ten musi być fotografem, i to fotografem błyskawicznym (*de l'éclair*).

Każda więc, i każdy dzisiaj — musi mieć przy sobie, czy na sobie, przyrząd fotograficzny specjalny. Na tem polu Amerykanie wyprzedzili starą Europę. Wynaleźli przyrządy wszelkiego rodzaju, mogące zaspokoić najwybredniejsze żądania: zacząwszy od małego pudełka, wielkości lornetki teatralnej, zawieszzonego przez plecy, aż do objętości tabakierki lub zegarka, jest cały szereg przyrządów na zawołanie, a każdy z nich pozwala w jednym okamgnieniu, za pociśnięciem guziczka, otrzymać portret lub widok, bez żadnej pozy, zachodu — prawdziwie: lotem błyskawicy.

Wynalazek papieru fotograficznego o tak niezmiernej czułości, iż pozwala otrzymać nagle, w jednym okamgnieniu, to, co się zowie tu techni-

cznie *negatywa* albo *kliszę* — to jest, pierwszego odbicia się na tym papierze danego przedmiotu — zastosowano do przyrządu, gdzie szkło, *objektywa kamery obskury*, jest tak przyrządzonem, iż nie wymaga ustawienia przedmiotu w jakimś koniecznym punkcie ogniska. Rozmiary zatem przyrządu są rzeczą podrzędną i wszystko zależy od tego, na jakiej wielkości obrazu fotograf. amator pragnie poprzestać.

Przyrządy takie kupują się już gotowe i zaopatrzony są w dowolną ilość papieru. Mniej lub więcej wygórowana czułość papieru, a więc i doskonałość otrzymanych klisz, zależy od mniej więcej biegłego fabrykanta, którym jest najczęściej jakiś fotograf z zawodu. Amator jedno tylko ma do zrobienia: opłacać fotografa i naciskać guziczek. Otrzymane w ten sposób klisze odnosi następnie do zakładu fotograficznego, gdzie je *preparują* jako *pozytywy*, to jest: właściwe już obrazy fotograficzne.

Rzecz to jest niezmiernie prosta i łatwa, jak sami możecie osądzić z tego, co się tu powiedziało. Prawda, że jak do każdej pracy mechanicznej, potrzeba i tu pewnej wprawy i wdrożenia się; ale amatorowie, na to nie zważają wcale. Na sto takich klisz znajdują się ledwo dwie lub trzy znośne i podobne do czegoś; to przecież nie przeszkadza nikomu rwać się do fotografii przygodnej. Człowiek światowy nie może dziś wyjąć z kieszeni ani cygarnicy, ani zegarka, ani żadnej rzeczy, która jego jest, aby go zaraz nie posądzono o to, że chce potajemnie schwycić podobieństwo tej lub owej pani, w tej lub owej postawie; co szczególnie w kąpielach nadmorskich daje powód do nowej zabawki — do *gieldy fotograficznej*, na której taki a taki portret, taki a taki widok, ma wartość taką a taką, stosownie do przedmiotu i doskonałości wykonania.

Z powodu wstępu, a nawet oburzenia, jakie opinia czytającej publiczności wyraziła poza granicami Francji względem zbyt przesolonych wyrażań p. Zoli w jego powieściach, jeden z literatów francuzkich, dziwiąc się tej *pruderyi*, przypisuje ją bardziej niezrozumieniu prawdziwego znaczenia niektórych wyrażań języka francuzkiego, z którymi ucho krajowców jest tak oswojone, że go to bynajmniej nie razi — niż wykroczeniu autora przeciw przyzwoitości!

Zapewne, że tłumaczenie, często nietrafne, pewnych wyrażań francuzkich może być w części powodem, zbyt wygórowanej niechęci cudzoziemców do surowych, *in crudo* podawanych wyrażań; ale potrzeba przyznać, że w literaturze współczesnej francuzkiej weszło dziś w modę posługiwanie się zbyt zuchwałemi, czy jędrnemi, wyrażeniami, których nawet pospółstwo używa tylko wyjątkowo, i to w miejscach *ad hoc*, jak szynkownie i ogródki.

Jeden z ludzi dowcipnych, na których tu nigdy nie zbywa, aby rozstrzygnąć powyższą kwestyą co do p. Zoli, ogłosił dykcjonaryk wszystkich nieprzyzwoitych wyrażań i wyrażań, jakich ten autor użył w swoich powieściach od początku do dzisiaj; z tego wykazu widać, naprzykład, że wyraz — *przebaczcie tę licencję* — „świnia,“ zajmuje tu miejsce naczelne, i że p. Zola użył go osiemset sześćdziesiąt pięć razy!!!

Ten pochop do nieprzyzwoitości literackiej, u tych samych Francuzów, którzy w życiu i towarzyskich stosunkach, z taką skrupulatnością przestrzegają poprawności formy i wyrażenia w mowie, przybiera rozmaite a dziwne kształty. U jednych, — jak np. u p. Zoli — jest to nadużycie brudnych i podłych wyrażań; u innych, jest wyuzdana jakaś sprośność w opisach i obrazach — słowem: pornografia w całej swej brudnej postaci; u innych, nakoniec, jest to jakby zidealizowanie sprośnych popędów natury ludzkiej, obłeczone w nieposzlakowaną a nawet wykwintną formę wyrażenia. Koryfeuszem tych ostatnich jest, znakomity z kądinąd pisarz, myśliciel i prozaik francuzki, Renan.

W ostatnich czasach zdaje się nawet, jakbyby poważnego tego akademika ukąsiła jaka tarantula zmysłowej uciechy; wszystko, co pisał w ostatnich czasach, rozbrzmiewa niejako okrzykiem: *Gardeamus!*... ziele niepowściągnięta żądzą tego, co może znamionować tę słabą i wątłą stronę

natury ludzkiej. Czytelnicy pamiętają pewno jego: „Kaplana z Nemi,“ „Ksienią z Jouarre,“ odpowiedź na kwestyonaryusz „Figaro“ o „Miłości,“ i t. d. Oto dziś mamy nowy dowód, z jakiego punktu ten pisarz zapatruje się na tego rodzaju psychiczne usposobienie rodzaju ludzkiego, i jaki pokarm pragnie zostawić dla zaspokojenia nieskromnej ciekawości publicznej.

Niedawno wspominałem tu o „wolnym teatrze“ paryżkim i o sztukach, któremi przedsiębiorca tej prawdziwie *Porno-sceny* raduje serca swych widzów. Dziś wracam do tego przedmiotu z powodu listu, którym p. Renan odpowiada przedsięwzięciu tego teatru, niejakiemu Antoniemu, na jego żądanie, aby go upoważnił do wystawienia „Ksieni z Jouarre.“ Podaję w dosłownem tłumaczeniu ten dokument, który nie powinien być stracony dla życiorysu dawniejszego ucznia seminarium S-go Sulpicyusza.

(Dokończenie nastąpi)

Kronika działalności kobiecej.

— Poprawczo-karny przytułek dla dziewcząt moralnie zaniedbanych, mający się wkrótce otworzyć za staraniem *Towarzystwa Osad Rolnych dla małoletnich przestępców*, będzie przyjmował dziewczęta, tak skazane na to wyrokiem sądowym, lub przez władze administracyjne, jak i na żądanie rodziców lub opiekunów. Z wyroku sądownego przyjmowane będą dziewczęta od lat 10 do 14; na żądanie rodziców od lat 8 do 14. Początkowo *Przytułek* mieścić będzie 50 wychowanki, których pobyt tam, najkrótszy lat trzy, ma na celu nie tylko umoralnienie ich, ale i uzdolnienie do pracy, pozwalającej następnie wieść życie uczciwie pracowite. Będą je zatem kształcić na kucharki, pokojówki, szwaczki, oraz gospodynie wiejskie, wskutek czego obok ochmistryni zakładu i nauczycielki, zajmującej się elementarnem oświecaniem ich umysłów, będą przebywały tam stale dwie praktyczne nauczycielki gospodarstwa miejskiego i wiejskiego. Osada *Przytulku* utrzymywać będzie w jego obrębie krowy, trzodę chlewną, oraz drób, aby wychowanki nauczyły się hodowli tych domowych zwierząt i gałęzi gospodarstwa kobiecego, które się z tem łączą. Ustawa *Przytulku* została wypracowana przez *Komitet Osad Rolnych, i Przytulków rzemieślniczych*.

— Piąta szwalnia *Towarzystwa Dobroczynności* dla ubogich dziewcząt mieści się przy ulicy Czerniakowskiej. Zajmujący się tą pożyteczną instytucją członkowie *Towarzystwa* zapragnęli, aby nosiła nazwę „Szwalni Scheiblerowej“, a to dla uczczenia tej zacnej pani, której dobroczynność zasługuje na wyraz wdzięczności publicznej.

— Szkoła Handlowa dla kobiet zostanie otwartą w Warszawie w początkach Stycznia nadchodzącego roku. Kurs dwuletni obejmować ma naukę utrzymywania ksiąg handlowych, towaroznawstwa, naukę korespondencji, geografii handlową, oraz języki nowożytne. Założycielem tej potrzebnej szkoły jest p. Wojciech Zieliński, mieścić się ona będzie przy ulicy Marszałkowskiej; kandydatki potrzebują posiadać patent z ukończenia gimnazjum, lub też złożyć odpowiedni *examin*. Opłata półroczna rs. 40 — bez jej zryków, których nauka ma być osobno płatną.

— Adela Weite, Warszawianka, która ukończyła w Zurychu studia lekarskie, zamierza praktykować w Warszawie jako doktor-chirurg.

— Na wystawie nasion przyznano hr. Maryi Potockiej dyplom zasługi za ogół okazów; medal złoty za nasiona zboża ozimego. Helena Gutowska ze Zwodów otrzymała medal złoty za ogół okazów.

— W dalszym ciągu nagród, przyznanych kobietom na wystawie wileńskiej, otrzymały: *Medale srebrne*: p. Hurczynowa z Kaźmierzowa za

len; p. Wikszemska z Wilna za koronki, a dodać tu trzeba, że pani ta ma w Wilnie szkołę koronczarstwa, liczącą obecnie uczennic 12; p. Girdwojniowa za obraz ze skrawków materji, więc zapewne za przemyślne zużytkowanie odpadków pracy domowej. *Medale brązowe*: hr. Mostowska za draperye, hr. Tyszkiewiczowa za koronki, hr. Lubecka za serwetę, p. Gąbczewska za kwiaty z wosku. *Listy pochwalne*: p. Zofia Kiełczewska za owies; p. Parazińska za malowanie na materji; p. Wolska za serwetę ze skrawek.

Nagrody pieniężne otrzymały: p.p. Sawrymowiczowa za kwiaty ze skóry, wytwornej roboty rs. 30; Bronisława Kuksinowiczowa z Leonowicz za tkaniny wełniane i półwełniane rs. 20; Włoscianki z powiatu Telszewskiego i Rosieńskiego otrzymały za takież wyroby od rs. 15 do 5, a to Franciszka Kaulisowa, Marya Jakowiczowa, Rozalia Salmanówna, Anna Paulanisowa, Zofia Mojskisowa, Zuzanna Komarowa, Urszula Gedrajtysowa, Eleonora Kawecka, Marcyanna Szanklisowa, Tekla Skirdonosowa, Emilia Laurencyówna i Tekla Adamajtysowa.

Wielką nagrodę za wyroby wełniane i półwełniane przyznano p. Bronisławie Kuksinowiczowej. Podniesienie kolorowego tkactwa domowego ma znaczenie niemałe w ekonomii rodzin, bo prowadzi do znacznych oszczędności w wydatkach na odzież, i z tego też względu rozpowszechnionem jest tak w chatkach, jak po dworach w całych Prussjach, w całych Niemczech Północnych, w Szwecji i Danii. Jest to przemysł domowy owiele cenniejszy od wielu innych robót kobiecych, które nie mogą mieć równie praktycznego zastosowania, bo samodzielny te bardzo trwałe, pod względem gustu i wyglądu nic nie ustępują tkaninom kupnym, przeznaczonym na codzienne użycie w rodzinach średniozamożnych. Do zasług obywatelskich hr. Stanisławowej Zamojskiej zaliczyć też to trzeba, że w dobrach swoich: w Maciejowicach i Podzamczu, otacza ten przemysł kobiecy opieką swoją i daje mu należne poparcie.

— Krakowskiemu komitetowi przemysłowemu złożyła p. Giełgudowa z Londynu 500 zł. reń. na koronki które wyrobione w Zakopanem, w Kanczudzie i w Bobrowej, mają iść do Ameryki. Początkowy interes, okazywany przez tę zacną panią ojczyściej ziemi rodziców swoich — pocziwie uczucie serca, które ją wiąże z tą ziemią, wzrusza i wywołuje dla niej żywe współczucie, jako dla wiernej i szlachetnego serca.

— Komitek *Krakowskiego Towarzystwa Rolniczego*, pragnąc założyć szkołę gospodarstwa kobiecego, dla której otrzymał subwencją od ministeryum rolnictwa, wszedł w układy ze *Szkołą gospodyń wiejskich* hr. Władysławowej Zamojskiej w Brodach. Rozwinięta i powiększona przetworzyłaby się ona na szkołę publiczną, przynosząc tu ze sobą, oprócz dobrej tradycyi i doświadczenia posiadane, co jest dla instytucji tego rodzaju rzeczą bardzo ważną. Jest to tasama szkoła, która poprzednio istniała w Poznańskiem: w Kórniku, założona tam jeszcze przez s.p. Działyńskiego, a która po jego śmierci przeszła spadkiem wraz z kluczem Kurnickim na gen. Zamojską, siostrę zmarłego, Działyńską z domu. Ze przecież rodzinie hr. Zamojskich, jako niepoddanych pruskich, pobyt w majątności ich wzbudnionym został, zatem po przeniesieniu się do Galicji hr. Zamojska, w celu osobistego czuwania nad szkołą, przeniosła ją do Brodów.

Czytelnicy naszego pisma znają dobrze kierunek szkoły, jej plan i regulamin, który wskutek tych przenosin nie uległ żadnej zmianie. Uczennice przyjmują się w wieku najmniej lat 14, po skończeniu szkoły elementarnej, lub też z odpowiadającym temu wykształceniem umysłu. Czas nauki właściwej trwa lat trzy, potem następuje dwa lata jakoby praktyki, która wiadomości otrzymane uzupełnia.

Wydziałów nauki jest 15. Szkoła chce, aby każda z uczennic przeszła je wszystkie w przeciągu lat trzech, oile na to pozwolą zdolności jej i zdrowie. Gdy to nastąpi, można już poznać stanowczo usposobienie uczennicy i jej zdolności, w miarę których wyznacza się jej praktyka, odpowiadająca powołaniu jej w przyszłości. Jeżeli

uczennica po skończonej nauce ma wracać do rodziców i pracować w rodzinie, przerzuca się ją w roku ostatnim od wydziału do wydziału pracy, aby uzdolniła się ogólnie w zakresie całego gospodarstwa kobiecego, które prowadzić będzie, i używa się jej do dozoru w wydziałach pracy rozmaitej, aby umiała spełniać go należycie we wszystkich gałęziach gospodarstwa domowego. Jeżeli uczennica zamierza obrać sobie jakiś zawód: być panną służącą, lub gospodynią dozorującą, kucharką, praczką, pokojówką, w takim razie uzdolnienie jej potrzebuje być bardziej specjalnem i wtedy jest rzeczą dla niej pożądaną, aby pozostawała w szkole do lat 21, dla pozyskania doświadczenia w zawodzie swoim, a zarazem dla ugruntowania się w zasadach, jakie szkoła wszczepia.

Nauczycielek wykształconych zawodowo jest w zakładzie sześć; naczelnictwo pozostaje w rękach samej hr. Zamojskiej i jej córki, hrabianki Maryi; kształcenie w poszczególnych wydziałach odbywa się przy pomocy starszych uczennic. Czas pozostawiania uczennic w każdym z nich, jest tak długi, jak tego wymaga potrzeba, aby każda z dziewcząt wyuczyła się dostatecznie tego, czego się uczy, i nabrała odpowiedniej wprawy w każdym kierunku podejmowanej pracy. Wydziały tej pracy są: 1) Pranie, maglowanie i prasowanie. 2) Pieczenie chleba, bułek i rogalików, ciasta. 3) Kuchnia pańska i czeladna. 4) Mleczarstwo, obejmujące wyrób masła i serów. 5) Obora: utrzymanie krów, dojenie i wychów cieląt. 6) Kurniki: chów drobiu i tuczenie go. 7) Chlewy: chów prosiąt, utrzymanie trzody i tuczenie wieprzów. 8) Ogród warzywny i owocowy: sianie, sadzenie, przesadzanie, pielnie, szczepienie. 9) Spiżarnia: utrzymywanie zapasów, kwaszenie kapusty i ogórków, solenie i wędzenie mięs, przechowywanie i suszenie owoców, robienie konserw i konfitur i t. d. 10) Kupowanie i sprzedawanie produktów gospodarczych. 11) Utrzymanie rachunków ogólnych i szczegółowe prowadzenie rachunkowości każdego z działów gospodarczych. 12) Szwalnia: a) krój i szycie bielizny, b) gorsetów, c) sukien, d) hafty, e) robienie i przerabianie materacy i kołder. Przędzenie i tkanie w krośnach, udzielane tym z uczennic, którym to potrzebnem być może. 14) Pielęgnowanie chorych. 15) Apteka: zbieranie, suszenie i przechowywanie ziół leczniczych lub farbiarskich i mogących służyć do prania lub innych użytków domowych.

Plan pracy tak jest rozłożony, że nawet te, które są zajęte czynnościami gospodarczymi, mają codziennie rano dwie godziny sprzątania pokoi, w ciągu dnia dwie godziny szycia. Cały porządek zakładu przypada na dział uczennic, gdyż niema tu wcale usługi oddzielnej i wszystko, aż do zmiatania kurrytarzy, schodów, dziedzińca, spełniają uczennice kolejno. Daje to ruch potrzebny i zastępuje naturalnie gimnastykę, która jest ruchem sztucznym i wywieraniem sił bez praktycznego celu.

Zakład stara się zarazem, aby nauka otrzymana w szkole nie wyszła z pamięci i umysłu dziewcząt. Kapelan zakładu wykłada im naukę religii i Historii Świętej, godzinę tygodniowo; druga godzina tygodniowo poświęconą jest nauce historii ojczystej, dalej rachunkom, kaligrafii, oraz wypracowaniom piśmiennym w zakresie gospodarstwa. Nauka śpiewu zajmuje tygodniowo godzin dwie. Zatrzymywanie uczennic w zakładzie do lat 21 jest pożądanem ze względu, aby kilkoletnie nawyknięcie do pracy, do porządku, do życia wiedzionego moralnie i pracowicie pod kierunkiem rozumnej opieki, dało im ten dobrze ustalony grunt moralny, któ-

rego już-by łatwo naruszyć nie mogły wpływy ujemne, z jakimi dziewczęta młode, idące w świat na pracę bez opieki domu rodzicielskiego, spotykać się muszą.

Starsze, skoro tylko zasługują na zaufanie, mają sobie powierzane uczenie i pewne kierowanie młodszymi, co wydaje skutek najlepszy, bo obdarzone tem zaufaniem, usiłują zasłużyć na nie. Przyjmują się tu także na praktykę gospodarczą i panienki z wyższych warstw społeczeństwa, a ich obecność w kuchni, w pralni, oddziaływa bardzo dodatnio i zachęca do pracy, która podnosi się w znaczeniu swoim przez te w wyuczaniu się jej współtowarzyszki. Stół uczen- nic jest trojaki i stosownie do tego opłata szkolna jest większą lub mniejszą. Ze stołem pierwszym wynosi miesięcznie 45 zł: r., ze stołem drugim 20 zł: r. z trzecim 10 zł: r. Ubranie uczen- nic stanowi pewien uniform: bluzka perkalowa, przepasana fartuszkami i mały biały czepeczek na głowie.

Zwiedzający niedawno zakład p. T. R., który wrażenia swoje, najprzychylniejsze dla tej pożytecznej instytucji, zamieścił w *Korrespondencie Płockim*, zauważył, że wszystkie uczennice wyglądały wesoło, zdrowo i czerstwo, jakkolwiek pożywienie jest tu bardzo skromne, a zwłaszcza przy stole trzecim zupełnie tak proste, jak naszego ludu wiejskiego lub czeladzi; mięso dawane tam jest tylko w niedzielę i święta.

Zwiedzający dodał jeszcze, że w razie połączenia szkoły z zakładem hr. Zamojskiej, trzeba by tylko rozszerzyć dział mleczarski, hodowlę cieląt, hodowlę drobiu i praktyczną naukę ogrodnictwa. Dzierżawca folwarku Brody, Datner, gotów jest, czy odstąpić na użytek zakładu jakąś część gruntów, czy też wydzierżawić kilkanaście krów, dostarczając im paszy i ściółki. Racyonalne, dobre urządzenie szkoły gospodarstwa kobiecego ma w ekonomicznym kraju znaczenie tak poważne, że pragnąć należy, aby rzeczy ułożyły się najlepiej, najpomyślniej w kierunku dobra ogólnego.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Wystawa ornamentacyjna**, czwarta z kolei, urządzona staraniem Towarzystwa Sztuk Pięknych, mieści przeważnie dzieła ręki kobiecej. Jest tu wiele rzeczy bardzo ładnych; obok czterech plafonów p. Bronisławy Poświkowej, przedstawiających owoce i zwierzęta, największe zajęcie budzą inkrustacje księcia Witolda Czełtyńskiego. Ale wielkim brakiem wystawy, która przez to względnie tylko odpowiada celowi, jest brak zupełny okazów rzemieślniczo-ornamentacyjnych, czyli tego, co głównie przedstawionym tu być powinno.

— **W Płocku** zawiązuje się stowarzyszenie śpiewacze, na wzór sympatycznej *Lutni* warszawskiej.

— **Na wystawie wileńskiej** jedwabnictwo przedstawione przez p. Wiktora Mańkowskiego, właściciela Radziejowszczyzny, dowiodło, że dział ten przemysłu wiejskiego może się kraju rozwijać pomyślnie, skoro w stronie północno-wschodniej tak morwa jak jedwabniki istnieć mogą. P. Mańkowski zasadził 1858 r. we wspomnianej wsi 1.000 drzewek, wyprawdzonych z nasienia, które sprowadził z Francji. Z liczby tych ani jedno drzewko nie uszło, nie zmarzło, nawet wśród wyjątkowo mocnej zimy

w 1871 r. i zeszłorocznej, aczkolwiek nie były szczególnie pielęgnowane, a nawet przez lat 10 nie rozciągała się nad nimi żadna opieka i dzieci wiejskie, zbierające smaczny owoc morwy, połamały gałęzie. Morwy przetrwały to i obecnie mają średnicy od 3—4 cali grubości, a są od 9—10 metrów wysokie. P. Mańkowski sprzedaje rocznie kilkanaście pudów kokonów, otrzymując po 1 rs. za funt. Dzieje się to za pośrednictwem p. Adolfa Boguskiego. (Bogucin, gmina Mokotów).

— **Pomnikowe dzieło** p. Oskara Kolberga: *Lud polski*, pomnożyło się świeżo wydanym 21. tomem, opisującym lud okolic radomskich. Całość ma obejmować tomów 28.

— **Księgarnia polska** ma być otworzona w Wiedniu z filiami w Pradze Czeskiej, w Zagrzebiu i Białogrodzie.

— **Matejko**, przemawiając w dniu pierwszym bieżącego miesiąca przy otwarciu krakowskiej *Szkoły Sztuk Pięknych*, ostrzegał młodzież przeciw realistycznemu kierunkowi w sztuce, który zaczyna wiskać się i do nas. Szkoła i jej kierownicy nie chcą wywierać nacisku na artystyczną indywidualność uczniów. „Niech każdy zostanie sobą“ — niech zachowa samoistność twórczą; ale obowiązkiem szkoły jest wskazywać drogę i ostrzegać przed tem, w czem widzi upadek sztuki wyższej: „Obowiązkiem moim — mówił mistrz — jest wychowywać młodzież w miłości prawdziwego piękna, bo tylko takie przetrwa wieki i na zawsze pięknem pozostanie.“

— **Towarzystwo historyczne** niemieckie ogłosiło konkurs z nagrodą 3.000 marek za historią Wielkopolski. Rzecz może być pisana popolsku, byle dołączonym był przekład niemiecki.

— **Angielskie czasopismo** „National Review“ zamieściło monografią włościan polskich. Autorem jest Paweł Silvestre.

— **Muzeum Joanny d'Arc** na wystawie paryskiej będzie budzić jej pamięć w możliwie plastyczny sposób. Przedstawioną tam zostanie reprodukcja jej chaty w Domremy ze wszystkimi wieśniaczymi sprzętami swemi, z ogrodem po za chatą, z polanką, wśród której Joanna, otoczona trzodą swoją, będzie przedstawioną w chwili, gdy „głosy“ przemawiają do niej. Obok tego widz zwiedzający będzie miał roztocone przed oczyma główne obrazy z życia bohaterki, w liczbie dwunastu, a między nimi straszny obraz spalenia jej na stosie, buchającym rzeczywiście płomieniem prawdziwego ognia. Ale obok tych obrazów dramatycznych, które może rozniecą jaką iskrę szlachetnego uniesienia w wyiębłych dla wyższego ideału piersiach francuzkiego ludu, będą zgromadzone wszystkie relikwie pozostałe po wielkiej męczennicy, i autografy tego, co pisanem było w jej precesie. Przytem zostaną wykonane na organach i harfach wszystkie utwory muzyczne, powstałe pod natchnieniem tej heroicznej postaci niewieściej, cudownie promieniejącej wśród dziejów Francji. Będzie również przedstawiona w reprodukcji brama Orleanu, długości 40 metrów — brama Paryża, pod którą „Dziewica“ została ranną i bawszta zamku w Compiègne, z kąd uciec usiłowała. Potomkowie rodziny Joanny d'Arc będą mieli oddany sobie dozór na tem muzeum.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a.

TREŚĆ. Widzenie, przez J. Nitowskiego. — Ze spuścizny olbrzyma, (dalszy ciąg), przez Miriam'a — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczną, przez Fr. Rawitę. — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Nowiny paryskie. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje Arkusz 3-ci powieści pod tytułem: **Katarzyna Regina**, przez Waltera Besant'a. — Przegląd mód. — 15 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — Dyspozycją stołu

Warszawa. — Druk i Litografia S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Доволено Цензурою — Варшава 5 Октября 1888 года